

Sąd na Sędzią

[Sci-Fi] [Violence] [Oneshot]

Sakitta

„Nie istnieje granica między bogami a ludźmi; niekiedy jedni przeistaczają się niepostrzeżenie w drugich.”

Herbert Frank „Kroniki Diuny Tom 2 — Mesjasz Diuny”

„Trzęsiesz się” — Pulpit charakterystycznie brzęczy. Pisze do mnie Anan, widocznie stęskniewszy się po zaledwie kilku minutach.

„Przestań, jestem spokojna” — odpisuję czym prędzej. Stary nudziarz będzie wiedział, że kłamię. Po tych wszystkich latach poznał mnie lepiej niż własna matka. Doskonale wie, że inaczej nie zareaguję na żadną zmianę w moim harmonogramie dnia. Najchętniej nie wychodziłabym z domu, choć czuję drobny lęk przed samotnością. Ten strach wydaje się dziwny i sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem zważywszy, że nie lubię także poznawać nowych kucyków. Najchętniej zaszyłabym się w jakimś ciepłym i przytulnym miejscu, razem z najbliższymi. Wtedy zupełnie nic nie potrafiłoby mnie wyrwać z tego najcudowniejszego miejsca na świecie, lecz nie potrafiłabym się pogodzić z taką beczynnością. Z drugiej strony z roku na rok statystyczna liczba tych „najbliższych” stale maleje. Ma to swoje plusy: nie znając ciotki, nie utrzymujesz z nią kontaktu, tym samym nie poświęcasz na to czasu, więc więcej pozostanie go na samorealizację. Nie wierzę, że to pomyślałam zaraz po zachwalaniu rodzinnej aury. A niech to! Jestem pełna sprzecznych, wzajemnie zwalczających się charakterów. Być może właśnie to daje mi siłę do działania oraz pozwala cieszyć się tym, co już posiadam, abym nie robiła głupstw, sięgając po więcej niż to możliwe. Przecież na świecie są granice nie do przeskoczenia. Nikt dajmy na to nie stanie się władcą świata. Zawsze reszta zwalczy nawet najpotężniejszego z mocarzy. I niebawem otrzymamy na to dowód.

Właśnie zapalają się światła. Białe lampy na suficie rozświetlają gmach sali, ukazując dziesiątki kucyków siedzących przy biurkach z przegrodami. Wędrują wzrokiem pomiędzy drzwiami a swymi pulpitemi, wykorzystując resztkę czasu na dokończenie trwających dyskusji. Zamiast dodać kolejny zbędny wpis, dopijam resztkę kawy.

Drzwi się otwierają, a w nich ukazuje się oskarżony. Idzie powoli, jakby celowo pragnął opóźnić proces. Uważnie się w niego wpatruję, ale gdy na mnie spogląda, podświadomie odskakuję oczami niczym mała dziewczynka, którą ktoś przyłapał na gapieniu się na kalekę. Czuję jak trzęsą się mi kopyta. Aby nikt tego nie zauważył, chowam je pod stół. Prowadzi go tylko dwóch strażników, kolejnych dwóch jest pod drzwiami. Co prawda skuli go pętami magnetycznymi, ale boję się, że to nie wystarczy. Wcześniej, wyprzedzając moje obawy, zapewnili nas, że środki ostrożności są wystarczające. Postanawiam zdać się na ich osąd. Wyluzuj Jena.

Wprowadzają go do klatki oskarżonych. Z podłogi wysuwają się kompozytowe słupki, tworząc spiralne więzienie. Twarz ma zupełnie obojętną a nawet zrelaksowaną. Nie interesując się ani nami, ani głównym sędzią. Poprawia sobie pomarańczowy kombinezon więzienny. Z jego piekielnych oczu nie bije palący żar. Nie są także jaskrawe do nadnaturalności tylko... normalne. Nie spowija go mroczna aura ani mroźna mgła — nie ma mowy o wynaturzeniach. Jest to ktoś, kogo można by

minąć na ulicy, nawet się nie oglądając. Nic, naprawdę nic nadzwyczajnego. Spodziewałam się raczej legendarnego Króla Sombry, postaci iście demonicznej, uosabiającej mrok w już samym swym wyglądzie. Nasz oskarżony bynajmniej nie pasuje do starożytnych obrazów i epopei heroicznych — on naprawdę jest normalny! Gdyby odebrać mu tę jego pewność siebie, niczym nie różniłby się od nas.

Sędzia powitał nas na rozprawie. Tą znaną już wszystkim urzędową formułą oświadczył oczywiste banały. Zrobił to czym prędzej głosem przyśpieszonym do tego stopnia, że ledwie dało się go zrozumieć. Przedstawił skład sędziowski, czyli siebie i czterech siedzących pod nim pomocników. Następnie wymienił nas po kolei, ograniczając się do imienia, nazwiska oraz reprezentowanej planety. Oznajmił jeszcze, że rozprawa jest nagrywana oraz jej werdykt zostanie zaaprobowany przez wszystkie państwa, o ile nie skorzystamy z jedyne go powierzonego nam prawa, czyli sprzeciwu. Aby ująć to krótko, zalał nas lawiną zbędnej, ale jakże koniecznej ustrojowo formalności.

— Czy jest Pan tym, kogo nazywa się „Pustoszy ci e m”? — pyta sędzia, opierając kopyta na biurku.

— Posiadam wiele imion — od piera. — Sam nie jestem świadomy większości z nich i tym samym nie mogę wykluczyć, że właśnie tak mnie nazywacie.

— Czy jest Pan świadomy, dlaczego Pan się tu znalazł?

Zaczyna się spazmatycznie śmiać. Przeciera usta i mówi:

— Owszem, lecz czy jesteście w stanie powiedzieć to samo o sobie?

Słyszę krótki piszczyk. To sygnał komunikatora. Na Żółtym pulpicie pisze:

„Witaj, moja droga.” — Podpisane jako Anonim.

Rozglądam się dookoła, próbując zlokalizować nadawcę. Znad przedziałów widać tylko głowy zebranych — wszystkie zwrócone na oskarżonego. Mniejsza z tym, zaczynam słuchać sędziego. Nie zamierzam marnotrawić czasu, podczas gdy na sali przesłuchujemy być może największego zbrodniarza naszej epoki.

— Jest Pan oskarżony o zaatakowanie trzydziestu siedmiu zamieszkałych planet i doszczętne zniszczenie ich miast.

Sędzia wymienia ich nazwy, ale oskarżony ziewa. W końcu przerywa, mówiąc:

— Tak, tak, przyznaję się. Przecież dowody są oczywiste. Nie zamierzam nawet ukrywać, że jestem winny.

Otrzymuję nową wiadomość:

„Czy twoim zdaniem oskarżony zasługuje na śmierć?”

Co to ma znaczyć?! Przecież nie jestem nawet sprzątaczką tego sądu. Przyleciałam tutaj tylko po to, aby upewnić się, że rozprawa została przeprowadzona zgodnie z prawem oraz nie zagraża bezpieczeństwu Głorii i jej sojuszników. Po co ktoś miałby akurat mnie pytać o zdanie? Rozglądam się jeszcze raz. Wszyscy patrzą na oskarżonego, zupełnie ignorując własne pulpity, więc nikt inny nie dostaje podobnych wiadomości.

„Kim jesteś?” — odpisuję natychmiast.

Ponieważ nie odpowiada, zaczynam się niepokoić.

Sędzia w tym czasie powołuje pierwszego świadka. Jest nim kapitan Achan Nerik — najwyższy ocalały oficer spod Kers. Od momentu zniszczenia flagowca tymczasowo pełnił obowiązek dowódcy polowego; dokładniej ujmując: wdrażał rozkazy płynące z planety. Anan kazał wyuczyć się planu rozprawy, abym zawsze wiedziała, na czym stoję. Kapitan wszedł dumnie w swym niebieskim

mundurze marynarki kosmicznej. Stanął na baczność przed sądem, zameldował się iście po żołniersku i zaczął odpowiadać na pytania.

— Jaki był stosunek sił?

— Szesnaście do osiemdziesięciu trzech.

— Proszę zrelacjonować przebieg starcia.

— Oczywiście proszę pamiętać, że obowiązuje mnie tajemnica wojskowa, dlatego powiem tylko tyle, na ile pozwalają mi klauzury tajności.

— To nie jest trybunał wojskowy — mówi gniewnie sędzia. — Nie interesują nas Wasze technologie i systemy obronne a jedynie ogólny przebieg walki. W ostateczności wrócimy do tego później, a tymczasem proszę zaczynać.

— Namierzaliśmy siły wroga, kiedy te znajdowały się jeszcze czterdzieści dwie jednostki astronomiczne od naszej planety. Widząc, że zmierzają prosto na nas, wysłaliśmy nasze okręty do ataku. Pominę ich atrybuty oraz zastosowane formacje, by przejść od razu do chwili nawiązania ognia. Ponieważ skuteczny zasięg wroga był większy niż nasz, to oni odpalili pierwsze dwadzieścia salw dziobowych, niszcząc czternaście maszyn w tym flagowiec admirałski. Większość wrogich pocisków nie trafiła w nasze okręty, dlatego przetrwaliśmy pierwszy etap starcia. Później i my odpowiedzieliśmy ogniem, lecz nie czyniąc dużych strat. Po czterech kolejnych godzinach doszło do walki bezpośredniej, głównie na działa burtowe. Straciliśmy pięćdziesiąt maszyn, lecz spacyfikowaliśmy bądź zniszczyliśmy wszelkie statki wroga. Uszkodzony flagowiec Pustoszyciela nadał białą flagę, poddając się drużynie abordażowej.

— Czy to wszystko? — pyta z niedowierzaniem sędzia, spodziewając się znacznie poszerzyć wycytane przed godziną wiadomości z oficjalnego profilu.

— Reszta została objęta klauzurą. Bez zgody Biura Marszałkowskiego Kers nie mogę odpowiadać na żadne inne pytania.

— W taki razie dziękuję. Jest Pan wolny. — Zwalnia go niechętnie.

Dostaję nową wiadomość:

„Wkrótce się przekonasz, kim jestem.”

Nie chcę, aby mnie wciągnął w swoją grę. Nie znam zasad i boję się, że obróci to przeciwko mnie. Ale jakie mam wyjście? Zawsze można wcale nie odpisywać, co też jest jakimś rozwiązaniem. Udawać, że nie zwracam uwagi na pulpit? Czy mógłby powziąć jakieś kroki, gdybym udawała, że nie odczytałam wiadomości? Przecież zawsze mogę też wyłączyć komunikator. Dlaczego brak rozwiązania nie miałby być rozwiązaniem? No co by zrobił? A z drugiej strony zaszczerpił we mnie ciekawość oraz chęć doprowadzenia sprawy do końca. Mogę go zbagatelizować, lecz nie potrafiłabym sobie wybaczyć, gdyby moja decyzja doprowadziła do czegoś złego. Przynajmniej zdefiniowałam problem — to strach przed porażką. Anan mówił, że później należy już tylko postawić sobie jedno pytanie: „Co bym zrobiła, gdybym się nie bała oraz ufała we własne możliwości?”. Działałabym.

„Czego chcesz?” — To śmieszne, że wysłałam właśnie to pytanie. Sama wiem najlepiej, że nie otrzymam satysfakcjonującej odpowiedzi, ale czasem z kucykami tak bywa — piszemy słowa, lecz ich sens dociera do nas dopiero po naciśnięciu ikony „wyślij”. Czy coś bym zmieniła? Nie...

Zaczynam rozglądać się po wizytatorach. Nikt nie odrywa uwagi od procesu. Wiem, że komunikujemy się w sieci wewnętrznej, więc mój rozmówca znajduje się w tej sali. Dostrzega mnie

Anan. Wydaje się zadziwiony moim postępowaniem, ale wraca do swoich obowiązków. Ufamy sobie wzajemnie. Przecież pracujemy w jednym zespole.

Spostrzegam Muduka Kedinara jak pisze wiadomość. Kiedy kończy, mój pulpit piszczy.

„Niebawem zagrasz ze mną w grę, lecz jej zasady będziesz musiała odgadnąć sama.”

Mam cię! Już mi się nie wymkniesz i zgromadzę na ciebie dowody szybciej, niż myślisz. Znając wynik, o wiele łatwiej będzie dopasować obliczenia. Piszę do Anana:

„Ktoś ze mną koresponduje, czy mógłbyś go namierzyć?”

Wiem, że bardzo dobrze zna się na informatyce i jak dotąd potrafił spełnić każdą moją prośbę. Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy przez złość powiedziałam mu, że tylko złe kucyki nielegalnie włamują się do systemów, ponieważ dobre szanują cudzą prywatność. Jeszcze tego wieczora, gdy nocny świat oświetlały już tylko sztuczne lampy z ulic oraz mieszkań, nacisnął tylko jeden prostokąt na tablicy. Wszędzie wokół zgasło światło, a na niebie pojawiły się gwiazdy tak wyraźnie, jakbyśmy byli w kosmosie. Nie mogłam się napatrzeć. Niczym małe żrebie, z lekko otwartymi ustami podziwiałam blask ich piękna. Nawet o mało nie wymknęło mi się „Anan, co to?”. Zarumieniłam się. Pragnęłam oderwać od nich oczy, lecz trzymały mnie tak mocno, jakbym była związana setką strumieni magnetycznych. Z kącika oka wymknęła mi się łza. Anan ponownie odblokował system, zostawiając mnie przy oknie skamieniałą. Nazajutrz zaproponował, abym skierowała do ratusza petycję o wyłączenie oświetlenia podczas tylko jednej nocy w roku. Nie pytając się o szanse tego posunięcia, zaczęłam zbierać podpisy. Większość mieszkańców się zgodziła, a nawet ochoczo dopytywała, czy mogłaby jeszcze jakoś pomóc w przedsięwzięciu. Zaraz po tym powiedział mi, że czasem należy na chwilę wyjść poza schemat, aby dostrzec także piękno innych rzeczy i zły stan środowiska nam nie przeszkadza, dopóki nie dowiemy się, co takiego utraciliśmy. Ledwie otworzyłam usta, a on, wyprzedzając moje obawy, przymrużył oczy, mówiąc cichym i spokojnym głosem:

— Nie odłączyłem szpitali ani żadnych innych ważnych budynków. Poza tym, co zobaczyłaś, istnieje także inna ważna korzyść. Nasz rząd właśnie zorientował się, że jego zabezpieczenia są za słabe i umocni je, zanim wkradnie się ktoś o złej woli. A jeśli chodzi o petycję, zwlekając choć o jeden dzień, nic byś nie wskórała. Kucyki były chętne, dopóki płynęły z falą motywacji. Za tydzień już zapomną, ale tobie się udało.

Ze wspomnień wyrzywa mnie odgłos komunikatora.

„System wyświetla nazwisko adresata w prawym górnym rogu” — ta wypowiedź idealnie pasuje do jego stylu. Wielki i Wszechmogący Pan i Informatyk sądzi, że skoro jestem kłaczą, z pewnością nie znam się na zespołach logicznych.

„Podpisał się jako Anonim” — odpisuję, najszybciej jak tylko potrafię, robiąc jedną literówkę, którą poprawia wbudowany słownik.

„Niemożliwe. To zabezpieczona sieć wewnętrzna. Wszyscy użytkownicy mają z góry nadane imiona i nie mogą ich zmieniać.”

„Czy potrafisz go namierzyć?”

„Spróbuję.”

„Dzięki, jesteś kochany.”

— Koniec rozprawy na tę turę — oświadcza poważnie sędzia, ukradkiem rozprostowując stawy tak, by nikt nie widział. — Wszystkim wizytatorom udostępniam wszelką omówioną tu do tej pory dokumentację, w tym zeznania świadków, pełne raporty poruszonych spraw oraz nagranie z posiedzenia. Dziękuję i zapraszam za dwie godziny.

Kucyki opuszczając salę, tworzą przy wejściu tłoczny zator. Wychodzę jako jedna z ostatnich, tracąc zaledwie kilka sekund i nie musząc przeciskać się wąską ścieżką pomiędzy bokami prawników oraz polityków. I tak idziemy na drugie skrzydło, więc strata będzie naprawdę niewielka. Idę sama, rozmyślając nad tajemniczymi wiadomościami. Nagle woła mnie Anan:

— Chcesz coś ze sklepiu?

Nie wiem, jak to zrobił. Dotychczas był daleko za mną, a teraz w kolejce stoi jako drugi, mając za sobą co najmniej dziesięć kucyków w eleganckich garniturach.

— Kawa nam się kończy. Wiesz, jaką lubię.

Uśmiecha się i potrząsa głową. Chyba już mówiłam mu sto razy, że moja ulubiona kawa to taka, którą za pomocą specjalnych rur dostarczają wprost do ekspresu. Niemniej na drugim miejscu stawiam Akaf z hipermarketu.

Docieram pod nasz gabinet. Przykładam bransoletkę pod czytnik, robię zęza do kamery ochrony; drzwi się otwierają. Zaraz za mną wchodzi Anan, kładąc trzy torebki na stoliku.

— Jak ty to robisz, że nigdy się nie śpieszysz, a mimo to zawsze jesteś wszędzie przed czasem?

— Kucyki nie mówią ci, że zadajesz za dużo pytań? — Włożył miarkę kawy do podajnika.

— Sam mówiłeś, że zamiast wstydzić się niewiedzy, należy zadawać pytania, bo inaczej niczego się nie nauczymy i będziemy mieć takie braki, że aż w końcu nasz wstyd będzie w pełni uzasadniony.

— Bijesz mnie moimi własnymi powiedzeniami. Dobrze Jen. Sęk tkwi w tym, że zamiast gnać na oślep, przepychać się między innymi oraz trącić kogo popadnie, wolę znaleźć okazję i ją wykorzystać. Gdy kucyk zwalnia, zaczyna dostrzegać nowe, niedostępne wcześniej ścieżki. Zauważyłem, że bardziej opłaca się postępować z rozwagą, wszystko dokładnie planując, niż wypychać się na chłama, byleby do przodu. — Zagryza wargi. — Gdy widzisz kucyki biorące udział w jakimś bezsensownym wyścigu, stań z boku, podziwiając ich nieudolne starania. Nawet nie zauważają, kiedy je wyprzedzisz.

On naprawdę lubi uczyć. Świadomość, że dzięki jego radom ktoś staje się lepszym kucykiem, jest jego głównym hobby, nawet przed informatyką, którą stosuje raczej do nieuczciwego zdobywania przewagi. Poznałam go jeszcze na studiach politologii. Zawsze tak bardzo marzyłam, aby mieć przynajmniej znikomy wpływ na życie naszej planety. Nie pragnęłam władzy, pieniędzy ani prestiżu. Przedtem nawet o tym nie pomyślałam. Nigdy nie utożsamiałam się z tą myślą. Mój cel nie wybiegał poza jedno słowo: pomóc. Chciałam rozwiązywać bieżące problemy, sprawiać, by żyło się lepiej, finansować szpitale i szkoły, podnieść świadczenia socjalne, zbudować parki, zmodernizować prawo, po prostu wyrzucić świat do góry nogami. Zaraz po studiach razem z kilkorgiem kolegów i koleżanek mieliśmy założyć nową partię. To dziwne, ale nigdy nie dogadaliśmy się co do jej nazwy. Śmialiśmy się, że w dokumentacji pozostawimy puste pole. Kolega kiedyś sparodiował nasz chwyt reklamowy: „Chcesz, aby Gloria stało się lepszym miejscem? głosuj na... i tu chwila milczenia”. Nie obchodziło nas, jakim cudem naprawimy kraj, skoro nie potrafimy się dogadać nawet przy tak nieistotnych szczegółach. Byliśmy optymistami. Wtedy poznałam Anana; w przeddzień egzaminu z relacji. Stałam na chodniku, rozdając ulotki o przemocy w rodzinie. Był chyba jedyną osobą, która podeszła do mnie z własnej woli. Wziął jedną i pośpiesznie rzucił okiem.

— Masz za dużo tekstu. Skup się na najważniejszych myślach. Nie pisz tego, co wszyscy i tak już wiedzą. Popatrz tutaj: „Przemoc w rodzinie jest zła”. Jest tu wiele zdań, które bym wyrzucił, aby nie zlewały się z tymi istotnymi. Mów o psychice bitego dziecka, żony. Dodaj też coś takiego: „W ten sposób niczego nie zmienisz, nie rozwiążesz swoich problemów, a jedynie stworzysz nowe. Nim kogoś uderzysz, proszę, zatrzymaj się na sekundę i zadaj sobie pytanie: co zyskam? Jeśli znajdziesz choć

jedną zaletę takiej sytuacji, zrób jak uważasz, lecz pamiętaj o tym krótkim pytaniu: co zyskam? Od Ciebie zależy, kim staniesz się dla najbliższych”.

Postanowiłam, że dłuższe rozdawanie moich ulotek nie ma sensu. Zamiast sterczeć do późnej nocy, wydrukowałam nowe i nauczyłam się na egzamin. Następnego dnia pojawiłam się w tym samym miejscu, ale już z nową koncepcją. Zauważyłam, że parę kucyków zaraz po wzięciu ulotki zatrzymało się na moment, poświęcając całą uwagę jej treści. Przeczytali je. Niedługo potem przechodził Anan. Zerknął tylko na mój pliczek, lekko się uśmiechając.

— Brawo, właśnie zmieniasz świat na lepsze!

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że nie zrobił tego, by pochwalić moje skromne zasługi, ale bym nie traciła motywacji i wiary w moją pracę. Chciał, abym dalej się udzielała. Od tego czasu przechodził niemal codziennie, pokrzepiając mi ducha oraz dając nowe wskazówki. Kiedyś powiedziałam mu, że studiuje politologię. Ucieszył się i powiedział, że jak skończę, to mam przyjść do niego po pracę. Prawdę powiedziawszy była to już końcówka ostatniego roku, więc zgodziłam się, nawet nie wiedząc, co będę robić. Z początku parzyłam kawę oraz sortowałam dokumenty, po tygodniu badałam opinie publiczną. Później usłyszałam w mediach o nowym polityku, którego partia zdobywa popularność w zastraszającym tempie. Był nim Anan. Zapytał mnie, czy bym nie chciała wstąpić do jego ugrupowania, lecz teraz już jako członek a nie najemny urzędnik. Gdy się zgodziłam, poszło z górki.

Lecz któregoś dnia spotkałam znajomego z naszej niewypalanej partii. Opowiedział mi, że z ich planów nic nie wyszło i obecnie pracują w restauracjach albo wyjechali za granicę.

— Dobrze, że przynajmniej tobie się udało. Zresztą, to było głupie; iść na kierunek, po którym nie dostaniemy pracy. Oczywiście, można to zrobić tylko dla przyjemności, ale pomijając nasze głupie zabawy — tak to określił — czy choć przez moment naprawdę wierzyłaś, że dołączysz do popularnej partii?

Dotarło do mnie, że nie. To wszystko było infantylnym marzeniem!

— Cieszę się twoim szczęściem — dodał. — Tylko uważaj. Bo wiesz, jesteś młoda i ładna. Być może Anan wybrał cię nie tylko ze względu na umiejętności.

„Co ja takiego umiem? Stać przy chodniku z kiepskimi ulotkami?” — Te pytanie nie dawało mi spokoju. Zaczęłam się bać. Anan to wyczuł i zapytał: w czym rzecz? Ujawniłam mu swoje obawy, skoro i tak prędzej czy później wyszłyby na jaw.

— Masz rację, nie wybrałem cię ze względu na umiejętności.

Wiedziałam!

— Ale spostrzegając twe czyste serce. Doświadczenie można nabyć, a i tak wiesz więcej niż urzędnicy w twoim wieku. Serca nie odmienisz, a ja potrzebuję kucyków, którzy potrafią poświęcić się dla społeczeństwa. Tak właśnie ma wyglądać moja partia.

Nigdy nie wygraliśmy żadnych ważniejszych wyborów, nie uzyskaliśmy także zbyt wielu członków, ale Ananowi to odpowiadało. Twierdził, że dzięki temu możemy zachować bezstronność oraz skupiać się na tym, co naprawdę ważne, bez względu na polityczne uprzedzenia. Myślę, że liczone się z naszym zdaniem, skoro to właśnie my zostaliśmy delegowaniu na tę rozprawę.

— Twoja kawa. — Podaje mi kubek z ciepłym, lecz niegorącym napojem. — Patrzyłaś w lewo, więc chyba coś sobie przypominałaś, prawda?

— Wspominałam dawne czasy. Nieważne. Myślisz, że ten, co do mnie pisał, jest naszym wrogiem politycznym?

— Och, nie martw się. Ktoś robi ci głupi kawał i nic więcej. Załóż kopyta za głowę i poczekaj, aż mój program wyłapie jego kolejną wiadomość.

— Napisałeś go tak szybko?

— Nie, to jest niewykonalne nawet gdybym obsługiwał pulpit z prędkością mistrza sztuk walki, ale zdążyłem napisać program, który napisze tamten program.

— Znowu ten informatyczny bełkot. Nieważne, i tak wiem, że to Muduk Kedinar. Ostatnią wiadomość odebrałam zaraz po tym, jak skończył coś pisać.

— To jeszcze nie dowód, ale będę na niego uważał.

Zerkam na biurko. Akurat puszczają wiadomości. Pokazują naszą stację kosmiczną. Na tle niebieskiej gwiazdy wygląda imponująco, jakby kąpała się w jej promieniach. Aż szkoda, że przylecieliśmy od drugiej strony i nigdy nie ujrzymy tego miejsca z tej perspektywy. Szkoda, lecz niewielka. Naciskam na ikonkę z głośnikiem.

— Właśnie skończyło się wstępne posiedzenie Sądu Międzyplanetarnego nad kucykiem znanym tylko z nadanego mu przezwiska „Pustoszyciel”. Zniszczył on trzydzieści siedem planet, mordując przeszło osiemset milionów cywili — mówi prezenterka, kucyk ziemski o czerwonej grzywie oraz karmelowym futerku.

Osiemset milionów. To tyle ile jest mieszkańców czterdziestu Ersalen. Oto co należało zrobić: zebrać wszystkie kucyki w czterdziestu metropoliach, zaprowadzić na jakąś pustynię i rozstrzelać na kupie — żeby co nieco zrozumieć. Przynajmniej można by umieścić znane twarze w tym anonimowym stosie. Ale, rzecz prosta, tego niepodobna zrobić, a poza tym, kto zna dziesięć tysięcy twarzy?¹

— On zabił moją żonę i córeczkę! — krzyczy jakiś ogier. Na pasku pojawia się jego nazwisko i krótka informacja: „Członek zamordowanej rodziny”. — Były wtedy na Prox. — Ogier opuszcza głowę. — Bogowie, dlaczego?! Co mu zrobiły... Powiedziano mi, że omal mu umknęły. Wsiadły na prom ewakuacyjny, ale on go zestrzelił jak wszystkie pozostałe. Niech mi odpowie: dlaczego? Czego ty chcesz?! Słyszysz mnie Pustoszycielu: czego?! Błagam, powiedz, dlaczego to zrobiłeś, abym mógł zaznać spokoju.

— Wysadźcie go! Nie ma prawa żyć! Powinni takich... — Tutaj relacja się urywa. Prezenterka wyjaśnia, że przerwali ze względu na niecenzuralne słownictwo. Później pojawiają się kolejne opinie, ale wyciszam pulpit.

— Myślisz, że zasłużył na sprawiedliwy wyrok? — pytam go, dziwiąc się, dlaczego nie zabili go na miejscu.

— Może nie, ale nasze prawo zasługuje na bycie sprawiedliwym.

— Będziesz go bronił, po tym, co zrobił?

— Nie, ale pamiętaj o jednym: sądząc kogokolwiek, zachowaj obiektywność. Emocje i uprzedzenia są właściwe tylko dla stron konfliktu, ty jesteś bezstronna. Nawet przy ogłaszaniu wyroku, nie karć ani nie potępiaj, bo inaczej zaczniesz się utożsamiać ze sprawą i twój osąd przestanie być wiarygodny.

— Tych rzeczy do zapamiętania robi się coraz więcej — zauważam z lekkim uśmiechem.

— No to co? W danej chwili uczysz się tylko jednej.

¹ *Osiemset milionów...* — Akapit inspirowany „Dżumą” Alberta Camusa, który uchwycił tę myśl najlepiej, jak to tylko możliwe.

Słysząc dzwonek i służbowy głos, dochodzący ze wszystkich głośników:

— Za dziesięć minut koniec przerwy w posiedzeniu sądu. Wszystkich autoryzowanych zapraszam na rozprawę.

Zastanawiam się nad „Anonimem”. Musiał znać zabezpieczenia równie dobrze jak Anan. Czy to możliwe, aby nim był? Ach. Dowody na Muduka mniej miały się z prawdą. Poprzestaśmy na tym.

Docieram do sali sądowej, siadam przy swoim biurku. Pustoszytel nie zdradza najmniejszych emocji. Ta dziwna rutyna, marazm — wszystko wydaje się zwyczajne. Ponieważ na własnej skórze nie odczułam jego zbrodni, teraz coraz bardziej mi obojętnieje. Jednak zachowam obiektywność, choć zaraz po obejrzeniu wiadomości najchętniej udusiłabym go własnymi nogami.

Sędzia zaczyna od przytoczenia sprawy piątki ogierów w średnim wieku. Znaleziono ich nieopodal domu, w którym wcześniej zamordowano żonę profesora, a jego samego ciężko raniono; wymagał hospitalizacji. Majaczyli coś bez sensu. Właściwie nie tyle zdaniami, czy też słowami, ale samymi dźwiękami, jakby ich krztanie zachowywały się w sposób zupełnie losowy. Mimo postępu medycznego nie potrafią im pomóc. Jedyny ślad co do sprawcy wskazywał na Pustoszytela, ponieważ doznali szału i zemdleli ze strachu, kiedy na ścianie ośrodka wyświetlono jego rysopis.

— Na tej podstawie stwierdzasz, że to ja jestem winny? — odzywa się oskarżony. — To śmieszne i chyba sam w to nie wierzysz.

— Moim zadaniem jest przedstawić wszelkie fakty — mawia sędzia. — Robię to obiektywnie i rzeczowo. Czas na obronę i atak nadejdzie po skompletowaniu materiałów, aby nic nie zakłóciło bezstronności samych dowodów. Z tej racji proszę oskarżonego o wstrzymanie się od wtrąceń.

Pulpit mryga.

„Ciągle nie odpowiedziałś na moje pytanie. Czy oskarżony zasłużył na śmierć?”

„To Muduk” — błyskawicznie dociera wiadomość od Anana.

„Chcę wiedzieć, co ukrywa. Możesz sprawdzić jego gabinet?” — piszę.

„Nie stąd. Musiałbym się podpiąć bezpośrednio pod jego system, czyli jednym słowem: wejść teraz do jego pokoju.”

„Zhakujesz wszystkie zabezpieczenia, jeżeli przyłożę swoją bransoletkę do pulpitów?”

„Zaraz, co ty chcesz zrobić?”

„Wejść tam, teraz. Tylko nie mów, że oszalałam.”

„Zwariowałaś, ale w istocie, można by się w ten sposób włamać. Zastanów się tylko, co ci to da. Znajdź konkretny i ważny powód — tylko wtedy ci pomogę.”

„Czy byłbyś w stanie sam złamać zabezpieczenia tej sieci i podać się za Anonima?”

„On? Oczywiście, że nie. Jego partner tak samo.”

„Więc ktoś musiałby mu przesłać odpowiedni program. W systemie z pewnością został jakiś ślad. Znajdę go, a przy okazji przejrzymy jego pozostałe plany.”

„Za coś takiego czeka cię komisja dyscyplinarna, nie mówiąc już o zakończeniu kariery w polityce. Nie oczekuj także istotnych informacji. Pewnie zależy mu tylko, abyś wyłamała się z szeregu i nie zaakceptowała końcowego werdyktu. Nie licz na więcej. Nie będzie odkrycia diabelskiego planu. To rzeczywistość, nie film o młodej bohaterce udaremniającej wielki spisek.”

„Trudno.” — Aż sama nie wierzę, że wszystkie jego słowa podsumowałam tym jednym wyrazem. — „Jakby ktoś pytał, wróciłam do gabinetu po ważne dokumenty, a ty w tym czasie słuchasz za mnie.”

Wychodzę z sali, skupiając uwagę kilku wizytatorów. Najwyraźniej są zdziwieni moim stosunkiem do rozprawy. Przechodzę korytarzami, mijając roboty sprzątające oraz kilku pracowników ochrony w grubym mundurach. W tle gra cicha muzyka, dobiegająca z uchylonych drzwi. Zrobiło się pusto. W końcu zauważam, jak wygląda świat, kiedy wszyscy poza obsługą wychodzą do pracy.

Docieram do gabinetu Muduka. Anan przez bransoletkę pisze, że zajął się kamerami ochrony. Słyszę brzdęknięcie zamka, drzwi się otwierają, wchodzę do środka. Przechodzę po zielonym i miękkim dywanie, do złudzenia przypominającym żywą trawę. Przytykam bransoletkę do pulpitu biurka, bezpośrednio łącząc się z jego systemem. Anan uruchamia maszynę i łamie zabezpieczenia. Wyświetla się okno powitalne a pod nim interfejs użytkownika. Próbuję wejść do skrzynki, ale ta wygląda jedynie na ciąg przypadkowych i niezrozumiałych symboli.

„Uciekaj” — pojawia mi się na bransoletce.

— Nie bez odpowiedzi. Dane są zaszyfrowane. Musimy je odczytać — mówię, a program przekształca moje słowa na litery.

„On tu idzie. Nie zdążę znaleźć klucza. Więcej!”

— W takim razie pobierz wszystko, a odszyfrujesz później.

Na bransoletce i pulpicie pojawia się pasek ładowania. Mam świadomość, że mogę nie zdążyć. Słyszę, jak nawala mi serce. Staram się opanować emocję, ale świat zaczyna się trząść. Patrzę na ślamazarnie człapiący prostokąt, błagając go w myślach, aby okazał się szybszy od Muduka.

„Bierz to i uciekaj” — niecierpliwi się Anan. Jak mam mu wytłumaczyć, że jeżeli nie załatwię tej sprawy do końca, kiedyś będę musiała wrócić? Czy naprawdę lepiej jest się zabierać dwa razy za to samo, niż przemóc się jeszcze trochę, gdy już tak mało brakuje?

Pasek jest w połowie.

— Ile mi jeszcze zostało?

„Nic, musisz zbiec teraz, albo wsadzą cię do więzienia.”

Przeszło mi przez myśl, że jakby co, to Anan mnie obroni, ale to jedynie wytwór mojej wyobraźni — nic mnie nie wyciągnie z szamba, w które zaraz wpadnę.

Pasek spowolnił.

Czy kiedykolwiek w moim życiu tak wiele, zależało od czegoś tak małego? Głupi, przeklęty pasek na pulpicie biurka zadecyduje o moim losie. Czas ucieka, bransoletka twierdzi, że Muduk wszedł na hol tego sektora. Z pewnością widzi już drzwi do swojego gabinetu. Czekam. Znowu dostrzegam, że lekko się trzęsę. Zimny pot spływa mi po karku, ale ledwie go wyczuwałam. W większą obawę zapędzają mnie dźwięki stale otwierających się drzwi, lecz okazują się niczym więcej jak paranoją. Przestaję logicznie myśleć, tak bardzo boję się przyłapania na gorącym uczynku, że moja głowa urzeczywistnia te obawy, a przecież to nie prawda. Nie będę bać się na zapas, ponieważ to do niczego nie prowadzi. Strach obniża koncentrację, to z kolei zwiększa szanse na urzeczywistnienie się naszych koszmarów. Anan to powiedział; teraz jego słowa dodają mi siły.

Przegrał dane. Dopadam do drzwi najszybciej jak to tylko możliwe, a co najważniejsze, pewnie. Otwieram, wychodzę. Muduk jest kilkanaście metrów dalej. Akurat patrzył w innym kierunku, ale prędko mnie zauważył. Zadziwia go moja obecność.

— Przepraszam, czy Pani właśnie wychodziła z mojego gabinetu — odzywa się, zatrzymując mnie po drodze.

— Nie, byłam w swoim, to zaraz obok, musiał się Pan pomylić.

— Może... Akurat spoglądałem w innym kierunku. Cóż, trochę się zamyśliłem. To stresujący dzień, nie uważa Pani?

— Tak, bardzo. — Patrzę mu prosto w oczy. Bezczelność. Co on próbuje ugrać?!

Nie mam ochoty z nim rozmawiać, wracam do sali sądowej. Na dźwięk otwieranych drzwi, kilka kucyków odwraca się do mnie. Dopiero teraz dostrzegam, że ciężko dyszę. Słyszą to. Siadam na swoim miejscu i spostrzegam parę nowych wiadomości, pytających o mój stan zdrowia. Nie odpisuję. Sędzia nie przerywając na moment, przesłuchuje kolejnego świadka. Lawendowy pegaz, ten który jako pierwszy spotkał się z Pustoszyicielem, opowiada o swojej brawurowej ucieczce przed okrętami wojskowymi. Musiał mieć naprawdę dobre silniki oraz świetne wyważenie; nie słyszałam, by ktokolwiek inny dokonał czegoś takiego.

— To nieprawda wysoki sądzie, że uciekałem, by donieść o tym zagrożonym planetom. Wtedy wszystkie moje myśli krążyły wokół własnego przerażenia. Spostrzegłem tylko dwa stany: zagrożenie oraz bezpieczeństwo. Nie było mowy o ważnej misji ratowania kosmosu czy innych bzdetach. W takich sytuacjach w kucyках uruchamia się odruch obronny. Pragnąłem jedynie, by dano mi spokój.

— Ale po wszystkim Pan i tak poleciał na Harsar, aby ostrzec władze tej planety?

— Nie, przechwyciła mnie ich flota patrolowa i zadała pytania. Inaczej nie wydusiliby ze mnie tej informacji.

Pulpit odzywa się po raz kolejny:

„Odszyfrowałem dane. Koniecznie przejrzyj teczkę floty Pustoszyiciela.”

Otwieram ją od razu. Znajduję niekończący się zbiór raportów i analiz. Na szczęście Muduk z pewnością także się w nim gubił, dlatego sporządził notatki. Pojawia się ogromny napis „Tajne” oraz kolumna myślników. Niektóre są pozbawione wartości, ale szybko docieram do dokumentacji technicznej. Z początku pisze o powszechnie znanych faktach. Wszyscy wiedzą, że były to bezzałogowe drony, dowodzone z okrętu flagowego. Dalsze opisy mnie szokują. Jest w nich mowa o specjalnie wbudowanych emiterach, mających za jedyne zadanie nadawać falę elektromagnetyczną, o częstotliwości namierzonej przez nasze radary. Jego okręty były całkowicie niewykrywalne, a mimo to zdecydował się je naświecić jak choinki. Laboratoria techniczne przeprowadziły badania jego systemów celowniczych. Były doskonałe. Ryzyko pudła nie istniało. Dlaczego wtedy kapitan Achan Nerik twierdził, że większość pocisków ominęła flotę Kers podczas szarży? To nie ma sensu. Następny myślnik zbija mnie z nóg. Miał lepsze napędy, niż kiedykolwiek udało się nam wytworzyć czy wręcz założyć hipotetycznie. Gdyby zechciał, bez trudu doścignąłby statek tamtego pegaza, lecz pozwolił mu uciec. Ale to jeszcze nic, po przegranej bitwie z Kers, poddał się, zamiast zniknąć im sprzed nosa. Porażka i dostanie się do tej sali były częścią jego planu. Wszystko spowalnia, ciemnieje mi w oczach, nogi uginają się pode mną, otoczenie staje się ciche. Trzeźwieję w jednej chwili, zbierając się do kupy. Dzięki przedziałom między stanowiskom nikt poza świadkiem nie spostrzeża mojej słabości. Lekko się zacina, skupiając całą uwagę na mnie, ale uspokajam go mrugnięciem oka.

Przecieram czoło. Próbuję przeanalizować wszystko na chłodno, lecz aby się ostudzić, potrzebowałabym wiadra z ciekłym azotem. Po paru minutach odnajduję samą siebie w tej samej pozycji. Myślałam o czymś, ale nie pamiętam żadnych konkretów. Odpłynęłam. Naprawdę muszę się opanować. Anan dokłada mi kolejne kamienie na głowę, twierdząc, że Kers zakotwiczyło dziesięć okrętów zaraz przy lokalnej gwiazdzie. Pozostaną niewykryci, dopóki ktoś ich nie wezwie.

„Dlaczego nie zabili go na miejscu?” — piszę do Anana, próbując wciągnąć go w trans myślowy. Wiem, że kocha analizować oraz wyciągać wnioski jeszcze bardziej niż nocne siedzenie z głową odległą o centymetr od pulpitu. Gra wtedy w te swoje gry, ale to tylko myląca nazwa dla

prawdziwego hobby. Codziennie programuje, włamuje się, kreśli strategie polityczne, dorabia na giełdzie i wykonuje milion rzeczy, o których nawet mi nie mówi. Twierdzi, że w ten sposób załatwił sobie wszystkie rodzaje gier elektronicznych, tyle że z lepszym odwzorowaniem rzeczywistości, a przy tym lepiej oddziaływających na emocje.

„Posłuchaj, proces bez wątpienia będzie uczciwy, ale nie oszukujmy się — skazać mogą go tylko na śmierć.”

„On chciał tutaj trafić. Z drugiej strony wrogi mu Kers przewożąc go wiele ryzykowało. To nie ma sensu. Kulka w łeb załatwiłaby sprawę na miejscu. Teraz każdy kombinuje, a my nie mamy zielonego pojęcia o ich zamiarach. Tak czy inaczej, stacja jest w zasięgu ich floty. Cały nasz system obronny to dwie wyrzutnie rakiet i czterdzieści lekkich dronów. Będziemy mieć szczęście, jeśli chociaż zarysujemy im pancerz. To oczywiste, że Kers nie wysłało floty, aby obronić nas przed atakiem sił obwodowych Pustoszyciela. Raz, on takich nie ma, dwa, ich siły i tak niewiele by wskórały. Jedyne, co mogą zrobić w takim ustawieniu, to nas zniszczyć. Później zrobią w to, kogo tylko zechcą. Co gorsza, wszyscy wiedząc, że premier Wegi groził, że wolałby zniszczyć całą stację pełną cywili, niż ryzykować wydostanie się Pustoszyciela na wolność. Są tutaj prawnicy, politycy bądź dyplomaci wszystkich liczących się krajów kucykowych, a ich śmierć spowoduje chęć odwetu. Kers i tak prowadzi sporadycznie wojny z Wegą, lecz od bitwy z Pustoszycielem nie mają z czego wystawić nowych wojsk. Ile im zostało? Ta dziesiątka to pewnie większość ich armii. Znaleźli się w szachu i z pewnością zagrają ostro.” — Dopiero teraz zorientowałam się, że sama wpadłam w trans. Niczym komputer dokonałam serii analiz i uzyskałam wynik. To dziwne uczucie. Zaczynasz od lekkiej ekscytacji, później wkraczasz w coraz większą motywację... reszta pozostaje przyjemnym stanem, z którego się nie wyrwiesz przed zakończeniem. Kiedyś Anan uczył mnie wywoływać ten stan na zawołanie, ale ostatecznie stwierdził, że nie jestem gotowa.

Nie odpisuje dość długo. Wiem, że potrafi szybko czytać oraz pisać, więc trochę mnie to zadziwia. Prawdopodobnie sam przetwarza dane. W takiej chwili, jak przy tym pasku ładowania, kucyk nie potrafi usiedzieć cicho na miejscu. Już cała się wiercę, jakbym miała pchły. Kolejny świadek co rusz na mnie zerka i bynajmniej nie dlatego, że mu się podobam.

„Nie trzęść się, dobrze wiem, że to robisz. Spokojnie. Wdech i wydech. Jest ci coraz lepiej. Stres nie poprawi twojej sytuacji, podobnie jak żadne inne negatywne uczucie. To bariera na drodze do przyszłości, a teraz wstań i wyjdź razem ze mną, nie martwiąc się o to, co nie nastąpi. Jesteś bezpieczna.”

Robię, o co prosi. Nie sprzeciwiam mu się nawet na moment, mimo iż zdaję sobie sprawę z jego hipnotyzujących metod. Zezwalam na to i nie wtrącam się świadomością, która właśnie wyśmiewa naiwność podświadomości. Wychodzimy. Nikt nie zwraca na nas uwagi. Anan kieruje mnie bezpośrednio ku dkom. Gdy wchodzimy na schody techniczne, omijając uczęszczane korytarze, mówi do mnie:

— Muduk już nie wróci, a jego towarzysz zniknął po pierwszym posiedzeniu. Dok numer jedenaście został zwolniony dwie minuty temu.

— Zaatakują?

— Teraz już mogą. Zniszczą dowody i nie zaryzykują życia swoich. Nawet przesłuchiwany kapitan już odleciał.

— Anan. Pozostała jedna luka. Dlaczego Muduk do mnie pisał? Właśnie przez to zaczęłam węszyć.

— Nie potrafię na to odpowiedzieć. — Idealnie ukrył kłamstwo, nie pozostawiając nawet jednego zdradliwego tiku na twarzy. Zagrał doskonale. Dzięki temu czuję od niego chłodny dreszcz, tak niepodobny do bliskiego przyjaciela. Skłamał i ukrył to za nieprzeniknioną powłoką, na moment przestając być tym, kim jest.

— Zostawiłam w naszym gabinecie coś bardzo ważnego, muszę po to wrócić, to zajmie zaledwie moment. — Zawracam, ale łapie mnie w pół obrotu, kieruje na siebie i patrzy prosto w oczy ze stanowczością króla zwierząt.

— Cokolwiek tam zostawiłaś, będziesz musiała o tym zapomnieć. Wątpię, by było to warte twojego życia. — Odbieram to jako groźbę, choć Anan tak dobrze kontroluje swoje ciało i umysł, że rzadko odkrywałam jego prawdziwe myśli.

Dalej prowadzi mnie niemal na siłę, nie spuszczając z oka nawet przez moment. Idziemy wąskim korytarzem, później schodkami z cienkich metalowych płytek, wydających pod naszymi krokami charakterystyczny dźwięk. Jest tu trochę zimno, zresztą nic dziwnego, setki rur wijących się jak węże po tych korytarzach pokryły szron, odbijający skąpe światło z czerwonych lamp. Na końcu przechodzimy przez drzwi z klamką, czymś, co kiedyś widziałam w podręczniku od historii. Widać nasz prom. LPDRG-4, niestety nie pamiętam rozwinięcia tego skrótu, jest przymocowany na trzech szynach, właściwie katapultach, ale nie znam się dobrze na technice. Potrafię opisać jego kolor: czarny z szarym pasem. Wchodzimy wejściem bagażowym, mijając skrzynki na zapasy oraz kapsuły ewakuacyjne. Windą dostajemy się na główny poziom, stąd już tylko jeden krok na mostek.

W zielonym wnętrzu z neonowymi lampami spotykamy dwójkę pilotów grających w karty. Od czasu do czasu popijają herbatę.

— Szybko wam poszło, chyba że przypomnieliście sobie o starych znajomych i wpadliście, zobaczyć jak radzą sobie członkowie „Świty”, których nawet nie zaproszono na pokoje. Dobra kucyki, przecież wiecie, że żartuję. W czym rzecz?

— Musimy pilnie uciekać — oznajmia Anan.

— Przeprowadź kontrolę systemu, ja uruchomię zasilania podstawowe — mówi pierwszy pilot.

Siadają przy czarnych pulpitych pełnych schematów poszczególnych części promu oraz fachowych wskaźników, odnajdując się jakimś cudem w oceanie cyferek, w którym ja co najwyżej mogłabym utonąć. Na ich głowy opadają białe hełmy, pasujące do kombinezonów w tym samym odcieniu.

— Radzę usiąść i zapiąć pasy. — To drugi pilot. — Wystrzelenie z dokowania może wywołać lekkie wstrząsy.

— Nigdy nie wywołuje — mówi Anan i siada. Pasy wysuwają się z fotela i oplatają go niczym pająk swoją zdobycz. Dziwny kucyk.

— Ja postoję.

— Jak chcesz Jen, czy też Pani Also. Jeszcze nie wiem jak się do ciebie zwracać.

— Jena albo Jen wystarczy.

— Dobra pani i panowie, systemy sprawne, właz... no szybciej rzesz... właz otwarty, silniki w gotowości, wystrzelenie, jesteśmy na zewnątrz, konstrukcja przekłada energię kinetyczną, grawitacja spadkowa, — opuszczając, tą wiecznie kręcącą się wokół własnej osi stację kosmiczną rzeczywiście robi mi się lżej — silnik wirowy włączony, wykonano pierwszy obrót, siła odśrodkowa znormatyzowana, silniki napędowe włączone... no i lecimy, szacowany czas dotarcia na Głorię to trzy tygodnie.

Kosmos jest na swój sposób piękny. Nie potrafię zaprzeczyć, spoglądając na niepoliczalne morze różnobarwnych gwiazd, przypominające fale kryształowej wody nieopodal Malby. Chciałabym wrócić w tamte strony i przez najbliższe tygodnie mieć za jedyne zmartwienie, jaką jutro włożyć sukienkę. Czyste powietrze, śpiew mew oraz śmiechy bawiących się dzieci. Że też mogłam pomarzyć o czymś takim; niestety dawno już wyoroślałam. Przez ruch wirowy gwiazdy z małych punkcików zamieniają się w długie linie, wypełniając kosmos po brzegi, lecz pamiętam, że nigdy nie staną się niczym więcej niż drobinkami istnienia w nieskończonym niebycie. Zupełnie jak prawdziwe morze oddziela zamieszkałe wyspy, samemu pozostając niedocenianą trasą pomiędzy Edenami. Jak dawni żeglarze odnosili się do niezbadanych oceanów? Przecież były one dla nich tym samym, czym kosmos jest dla nas. Ekscytujący, tajemniczy, niebezpieczny. Obecnie awaria na pełnym morzu to nadanie sygnału i oczekiwanie kilkunastu minut na samolot ponadźwiękowy, ale dawniej nieszczelna burta oznaczała śmierć dla całej załogi, utonięcie w dawnym pojmowaniu nicości, ponieważ najbliższa cywilizacja znajdowała się zbyt daleko, często nawet paręset kilometrów pod wiatr, czyli mniej, niż nasz prom pokonuje w sekundę. Czym te niesione przez sztormy drewniane statki różniły się od naszych? Zaledwie datą produkcji, całą resztę pozostawiając niezmienioną. Ciekawe, czy za tysiące lat tak samo będą się wypowiadać o nas? Czy powstaną ekipy ratunkowe, gotowe udzielić pomocy po kilkunastu minutach od katastrofy, wyłowić wyrzuconych w przestrzeń rozbitków i ożywić ich metodą usta-usta? A czy faktycznie możemy zachwycać się pięknem kosmosu, wiedząc, że jego najdroższą biżuterią są wyspy kryjące się za odmętami oceanu, a nie on sam? Nigdy nie przyzwyczaję się do podróży kosmicznych i zawsze będę przychodzić na mostek wcale nie po to, aby porozmawiać z pilotami, ale by choć zerknąć na ich ekrany pokazującym świat poza szczelną tubą bez okien.

— Tutaj wieża kontroli lotów. Natychmiast zawróćcie i zadokujcie się w słocie numer osiem.

Piloci odwracają się do nas, ale przez matowe szybki w hełmach nie potrafię wyczuć ich nastawienia. Anan porusza poziomo głową. Lecimy dalej.

— Ponawiam żądanie. Natychmiast zawróćcie i zadokujcie się w słocie numer osiem albo was zestrzelimy.

— To prom Republiki Glorii — wtrąca się Anan. — Ze względu na immunitet dyplomatyczny nie macie prawa. Wolno nam odlecieć, kiedy zechcemy. Proszę nie łamać międzynarodowych reguł.

— Zgodnie z paragrafem dwudziestym pierwszym, artykuły ósmego, kodeksu dyplomatycznego, konwencji międzyplanetarnej: „Upoważniony organ ma prawo zamknąć przestrzeń kosmiczną, powietrzną, naziemną bądź podwodną w sposób bezwarunkowy, jeśli istnieje prawdziwe ryzyko rozprzestrzenienia się epidemii, nielegalnego wywozu broni, ucieczki więźnia szczególnego. Wtedy immunitet dyplomatyczny nie obowiązuje, a osoby nim dysponujące zobowiązane są ulec woli władzy lokalnej.” Pustoszyiciel zaginał. Proszę poddać się pod nasze rozkazy.

Na radarze pojawiają się kerskie okręty, zmierzające do nas od strony gwiazdy lokalnej — to znacznie komplikuje sytuację.

— Dajcie z siebie wszystko. Wiem, że potraficie — mówię do pilotów.

— Jen, jeśli zechcą, zestrzelą nas bez trudu. To nie zwrotna maszyny bojowa a tylko zwykła jednostka cywilna.

— Tak, ale wy nie jesteście zwykli.

— Rozpaczam odliczanie, proszę niezwłocznie zawrócić, albo zostanie zestrzeleni. Trzy... dwa... jeden, rakietą odpalona.

Anan wydaje się spokojny. Odpiął pasy i rozsiadł się wygodnie jak nigdy dotąd. Przyglądam się mu. Chyba po raz pierwszy w życiu mnie nie zauważył. Zupełnie obojętnie mówi:

— Trzęsiesz się, moja droga. — Tak zwrócił się do mnie Anonim, wysyłając pierwszą wiadomość.

— To ty pisałeś do mnie przez ten cały czas, do Muduka też, aby odpisywał, kiedy zwracałam na niego uwagę. Tam na korytarzu przed gabinetem skarżył się na ciężki dzień. Układanka wreszcie do siebie pasuje.

— Przyznaj, że gdyby nie łącząca nas przyjaźń, wpadłabyś na to o wiele szybciej. Teraz dopiero przepełnia cię wściekłość. Czerwienisz się ze złości jak świeży pomidor. Zaraz buchiesz parą. Wyobrażam sobie twoje uczucia. Z pewnością postępujesz klasycznie, konstruuując w głowie szczegóły najrozmaitszych tortur, którym z chęcią mnie poddasz. Powiedz: na ile sposobów zdążyłaś już mnie zabić oczami wyobraźni?

— Pięć.

— Konkretnie.

— Przepraszam bardzo, że wam przerwę, ale lepiej się sprężajcie, bo za dwie minuty zginiemy. Normalnie radziłbym się udać do kapsuł ratunkowych, ale i tak nie uciekniecie przed falą uderzeniową.

— Rakieta? — Klasnął kopytami, a rakieta natychmiast eksplodowała w bezpiecznej odległości.
— Wróćmy do ciebie, Jen.

— Nie nazywaj mnie tak.

— Dobrze więc. Naprawdę muszę ci wszystko wyjaśnić. Dosłownie wszystko, ale zachowam swoją kolejność, ponieważ jedne fakty wynikają z drugih, a ich niewłaściwa kolejność może wyrzucić niesłuszny osąd nad całością. Wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, roznosiłaś ulotki. Nie wybrałem cię przypadkiem. Już wtedy miałaś znaleźć się tutaj wraz ze mną i resztą. Dokładniej wytłumaczę ci to później, ale najpierw poznaj Davida.

Otwierają się drzwi, wchodzi nimi Pustoszyiciel.

— Ty... — Brakuje mi tchu w piersiach. Siadam na swoim fotelu, odchodząc od zmysłów. Anan podaje mi szklankę herbaty, ale zrzucam ją na podłogę uderzeniem kopyta.

— Panno Alsa, proszę dość do siebie. — Anan mną potrząsa, w końcu go odpycham i policzkuję. — Nie możesz nam tu mdleć. Przecież wiesz jak to powstrzymać i otrzeźwieć. — Tak, ale czy chcę?

— Dość tego! — Jeden z pilotów stoi na trzech nogach, wodząc po Ananie i Pustoszyicielu lufą lekkiego karabinku. — Nie będę przykładał kopyta do odbicia znanego terrorysty. Oboje poddajcie się i połóżcie na ziemi albo przerobię was na sito do odcedzania soli od wody.

— Proszę zrozumieć, — odpowiada Anan, cofając się kilka kroków — że bez wglądu na całość sytuacji nie może Pan wydać sprawiedliwego osądu. Kieruje się Pan nienawiścią, postępując całkowicie impulsywnie.

— Jen, odsuń się. — Przechodzę na przód mostku pomiędzy pilotów. Anan ma jedną nogę lekko podniesioną do góry, jakby chciał ostudzić emocje, lecz pilot nie zamierza odpuszczać i tylko bardziej wysunął kopyto przed siebie.

— Tu flota kers — mówi twardy głos dochodzący z głośnika. — Wyhamujcie i wyłączcie silniki, albo użyjemy siły.

— Wszyscy czegoś od nas chcą. — Jeden z pilotów włącza ciąg wsteczny, wytracając prędkość w zastraszającym tempie. — Tak czy inaczej, nie mam zamiaru się w to bawić. Załatwiającie swoje

sprawy, jak chcecie, ale nie zmuszajcie mnie, abym uciekał z terrorystą przed flotą wojсковą, która go złapała.

— Flota kers nie jest naszym sojusznikiem. Jeśli tu wejdą, zabiją nas wszystkich — przekonuję pilota. — Musimy ich dostarczyć na Glorię, to jedyne wyjście.

— Jen, i tak im nie uciekniemy. Kiedy się w końcu nauczysz, że to nie super zwrotny myśliwiec z ogromnymi silnikami! To tak, jakbyś kazała Ślimakowi zbiec przed jastrzębiem.

— Spokojnie, przewidziałem nawet to. — Anan zbliża się kilka kroków, ale drugi pilot podnosi wyżej swój karabinek.

Mostek gwałtownie przepełnia gęsty dym. Wszystko staje się przytłumione i rozmazane. Czuję mrówki pełzające po moim ciele. Są takie ciężkie... Opadam na podłogę, widząc nad sobą Anana i Pustoszyciela. Łapią mnie za nogi i gdzieś wynoszą.

Budzę się. Biel, wlewająca się przez dopiero co otwarte powieki, przyprawia mnie o parzący ból. Zasłaniam twarz nogą, lecz teraz czuję jakby coś przesuwalo mi się po gardle na zewnątrz. Resztką sił hamuję odruch wymiotny i całkiem opadam na twarde i zimne łóżko. Macam je. Okazuje się stołem. Gdy ponownie otwieram oczy, tym razem już lepiej przygotowana, dostrzegam, że świeci na mnie jasna, jak gwiazda neutronowa, lampa.

— Przepraszam, moja droga! — Światło w jednej chwili zostaje przytłumione. Dobiega mnie znajomy głos Anana, odległego o metr od mojego łóżka. Nadal chętnie bym go udusiła, lecz teraz wydaje się to mniej możliwe, niż kiedykolwiek wcześniej. — Po prostu pragnąłem mieć cię na oku, powiedzmy, że bardzo dokładnie. Bałem się, że po eksplozji coś ci się stało, ale także nie chciałem wsadzać cię do jednego z tych ohydnych zbiorników organicznych, mogących co prawda uratować i kucyka rozerwanego w pół, ale mających także swoje minusy, dość poważne dodam.

— O co w tym wszystkim chodzi?

— Pozwól za mną.

Niechętnie spełniam jego prośbę. Wychodzimy na bardzo krótki korytarz, przechodząc przez jedyne w nim drzwi. Stoi tam David, wpatrzony w rozciągające się po horyzont szeregi siedzących przy pulpitych kucyków, wyglądających niczym nieskończone barykady na drodze do raju. Przypominają maszyny, ale zrobione z prawdziwego ciała. Odwraca się, skanując mnie oczami jakbym była kodem kreskowym. Tysiące lamp odbija swe światło w mokrym śladzie, pozostawionym przez wypuszczoną łzę spod jego maski obojętności. Stoi niczym kamienny słup, nie ruszając się już więcej, jedynie powtórnie spoglądając przed siebie z wyrazistą melancholią, zagłębiając się we własnych wspomnieniach. Dostrzegam, że Anan gdzieś zniknął, zresztą to bez różnicy. Już nie darzę go zaufaniem i jego obecność byłaby bardziej krępująca niż potrzebna.

— Teraz dowiesz się wszystkiego — mówi statycznie, trochę jak robot.

Duszno mi.

Jest to zwykły jesienny wieczór. Słońce oraz oba księżyce udały się pod linię horyzontu na zasłużoną drzemkę. Niemniej jednak nie można powiedzieć, że jest całkiem ciemno, ponieważ niezliczone gwiazdy jaśnieją z czystego nieba. Trzeba rzec, że Sali lubi ich widok a w szczególności nocne przesiadywanie na małym moło przy stawie, gdzie może je obserwować zarówno na górze, jak i ich odbicie na lekko falującej tafli wody. W oddali sporadycznie odzywają się świerszcze,

komponując muzykę dla tańczących na drugim brzegu świetlików. Sali wypoczywa na drewnianym leżaku z pochyloną do tyłu deską animacyjną, wyświetlającą wiersze poety starego pokolenia.

Przychodzi do niej kucyk w prostokątnych okularach. Kładzie obok niej cappuccino i spogląda melancholijnie w dal.

— To piękny wieczór, choć nawet nie w połowie tak jak ty, moja droga.

— Jesteś kochany. — Całuje go w usta. — Myślę, że dobrze zrobiliśmy, wyprowadzając się z miasta. To powietrze i cisza działają na mnie w sposób iście magiczny, jakbyśmy przenieśli się do fantastycznej krainy któregoś ze znanych bajkopisarzy.

— Masz rację, aż szkoda, że nie możemy rozszerzyć tej chwili na wieczność.

Sali się śmieje i uroczo spogląda na męża.

— Gdy już skończycie swój projekt, może i o tym pomyślisz?

— W pierwszej kolejności każę mu wyliczyć, jakiej płci będą nasze żrebaki. — Przykłada ucho do jej brzucha.

— Ach, mówiłam ci, że pragnę, by było to niespodzianką dla nas obu. Obiecaj mi, że nie rozpoczniesz dochodzenia w sprawie mojej ciąży, tym samym nie idąc do szpitala po dokumenty.

— W sumie... dobra myśl.

Rzuca w niego poduszką. Zręcznie jej unika i łapie żonę. Obracają się w koło, wpadając do domku. Palący się kominek jest tu jedynym źródłem światła, nadając wszystkiemu złocistoczerwoną barwę. Patrzą sobie prosto w oczy, dotykając się nosami. Wzajemne ciepło przepelnia ich serca, aż toną we wzajemnej miłości.

— Gdy już skończymy... — mówi do niej, lecz ona kładzie mu kopyto na ustach, po czym głęboko całuje.

— Nic nie mów. — Znowu ten niesamowity uśmiech. Na pradowe księżniczki, jak on to kochał.

— Sprawię, aby ta chwila mogła trwać wiecznie.

Słyszają uderzenie czymś ciężkim o szkło. Ogier natychmiast wstaje, zasłaniając Sali.

— Słyszałeś to? — pyta wystraszona ze szpiczastym wyrazem twarzy.

— Zaczekaj tu, moja droga.

Próbuje naciskać przytwierdzoną do ściany płytkę, ale nic się nie dzieje. Wychodzi na przepelniony ciemnością korytarz. Kierując się własną pamięcią, przechodzi kilka kroków, ale nie chce zbyt oddalać się od żony. Pomału się wycofuje, ale wtedy coś uderza go o głowę. Pada na ziemię. Lecą na niego setki bolesnych kopniaków, wycelowanych przeważnie w twarz i brzuch. W tle krzyczy Sali, którą zaraz obalają na podłogę. Gdy są już pewni, że żadne z nich nie ma dość siły, aby im się przeciwstawić, wloką go do pokoju i świecą latarką prosto w oczy. Pomału otwiera powieki, ale zostaje szybko uderzony w skroń. Wypluwa krew z ust i niemrawo kręci karkiem.

— Naukowiec, co? — odzywa się jeden z napastników. Szybko okazuje się, że jest ich pięciu. — Technologia powinna iść do przodu byleby tylko jak najdalej, co?

— Przepraszam, cokolwiek wam zrobiłem, ale błagam, puśćcie moją żonę.

— Żonę? Ach! O nią chodzi! Popatrzcie chłopaki, oto jego żona. W sumie nawet całkiem ładna. Szkoda tylko tego krwiaka na twarzy. W sumie, ty jesteś lepiej wykształcony. Powiedz: jak fachowo określiłbyś to, co ona ma teraz na twarzy?

Nie może skoncentrować na niej wzroku; widzi tylko niewyraźną mozaikę koloru jej futerka, opuchlizny oraz strumieni krwi wymieszanych ze łzami. Jej dotąd piękna grzywa, teraz poszarpana, opadła na twarz, zasłaniając przerażone oczy.

— Błagam, puśćcie ją... — szepcze.

— Czy coś mówiłeś?

— Błagam! puśćcie ją!!!

— Bystrzak, w filmach z reguły muszą powtarzać po dwa razy, bo za drugim razem mówi normalnie, a nie krzyczy.

— W końcu to naukowiec — mówi drugi. — Jego mózg po prostu myśli szybciej i wyprzedza fakty.

— Aaaa. To teraz spróbuj wyobrazić sobie przyszłość. Patrz na nią. Podciągnij mu grzywę, aby patrzył. Nie płacz żono, wyobraź sobie, że to twój mąż jest teraz nad tobą. — Ogier wyrывa się ze wszystkich sił, ale trzymają go we trzech, aby pozostali mogli bez trudu gwałcić jego żonę. Nie mogąc już nic więcej zrobić, zamyka oczy. Przynajmniej doświadcza tego mniejszą ilością zmysłów, ale nie czuje, żeby to coś pomogło. — A teraz, czas, abyś się o wszystkim dowiedział. To za to, że chcesz stworzyć komputer, który w rozumowaniu przerośnie kucyka. Coś samoświadomego, co z pewnością nas by kiedyś zniszczyło, dlatego aby uniknąć większego zła, zdecydowaliśmy, że lepiej poświęcić waszą dwójkę, a przepraszam, trójkę.

Jeden z nich kopie Sali po brzuchu. Ogier nie słyszy już własnego ani jej krzyku. Istnieje już tylko jeden funkcjonujący zmysł spostrzegania rzeczywistości: nieograniczony szal, pasja, burząca bariery jakiegokolwiek rozsądku, zamieniając go we wcielenie samego diabła, gotowego zbiec i wymordować wszystkich. Napastnicy śmiejąc się, podrywają jej gardło nożem, później wielokrotnie dźgając ogiera, aż się wykrwawił.

Budzi się w szpitalu. Miękką pościel, fiołkowy zapach, muskające skórę światło oraz leki przeciwbólowe. Chwilowo poprawia się mu samopoczucie, ale wszystko pierzcha razem z zadaniem sobie pytań: „Kim jestem? Co tutaj robię? Co z Sali?!”. Jednym szarpnięciem zrzuca z siebie kołdrę, zrywa bandaż i wyrывa przewody. Próbuje zeskoczyć z łóżka, biegnąć gdziekolwiek, zrobić cokolwiek, ale ostatecznie tylko przewraca się na podłogę. Ktoś woła lekarza. Cienkie ukłucie w okolicach szyi i zasypia ponownie.

Następnym razem wydaje się spokojniejszy. Nie wie, ile czasu upłynęło, ale także niewiele go to obchodzi. Zauważa zmiany w wystroju wnętrza. Nowe kwiaty oraz wpisanie niebieskiego do konsoli kontrolującej kolor ściany nie zasypują jego smutku, ale przynajmniej odczuwa drobną ulgę. Ogier zagłębia się w poduszkę, leżąc łzami jak jesienny deszcz. Ciągłe konstruuje w pamięci wizję Sali, pragnąc jedynie zamartwiać się wiecznie trwającą chwilą goryczy. Z transu wydobywa go znajomy głos: to przyjaciel z pracy, lecz nie kolega, tylko prawdziwy przyjaciel, taki, który wpada czasem pod koniec tygodnia z żoną i synkiem, rozmawia i śmieje się razem, pomaga w potrzebie, tajemnice zachowuje dla siebie oraz naprawdę przejmując się cudzym losem. Mówi, że teraz najważniejszy jest odpoczynek, po czym przechodzi do reszty oczywistych bzdetów, które wszyscy już znają z literatury i filmu. Ogier przerywa mu i pyta o żonę. Tamten cofa się lekko wystraszony. Oczy zamieniły mu się w lodowe szkieleta, usta lekko opadły. W końcu przyznaje, że Sali nie żyje.

Nie chcę opisywać tutaj, co działo się z ogierem, ponieważ wszyscy z pewnością albo potrafią sobie coś takiego wyobrazić, jeżeli to przeszli — wtedy opis jest niepotrzebny — albo nigdy się z tym nie spotkali — wtedy opisanie uczuć, wypruwających na wierz serce, kiedy to kucyk byłby gotowy

rzucić się do wanny z kwasem, aby ten powoli wyżarł jego ciało i w końcu zakończył męczarnie, jest zbędny, ponieważ słowami nie da się wyrazić tych wszystkich przeżytych uczuć, zaprogramowanych nie pod rozum spisanych komunikatów a pod najgłębszą grotę naszej duszy. Nic się nie rozumie, a patrzenie i ocenianie cudzych cierpień jest równie potworne, jak ich wyrządzanie, dlatego przejdę dalej, kiedy ogier wyjeżdża ze szpitala. Lekarze dają mu fiolkę białych kapsułek. Twierdzą, że ten lek ma wyjątkowe zastosowanie, ale brać go należy tylko w ostateczności, kiedy wszelkie inne sposoby zawiodą. Jego działanie opiera się na wyłączeniu uczuć, całkowicie.

— Mając tę substancję, należy wykazać się ogromną odpowiedzialnością — mówią kucyki w długich białych fartuchach. — Nikomu innemu byśmy ich nie dali, ale Pan jest profesorem, dlatego ufamy, że wykorzysta je Pan z rozsądkiem. Zaznajomiliśmy już Pana z maksymalnym dawkowaniem: nie więcej niż jedna na tydzień. Przedawkowanie grozi trwałą utratą uczuć, stanie się Pan pozbawioną uczuć maszyną, nie kucykiem. Proszę brać tylko, jeśli tęsknota za żoną osiągnie stan krytyczny.

Przekłęci idioci. Rzuciłby się na nich jak wściekły pies, ale wtedy przypięliby go do łóżka i zabrali tabletki. Z obrzydzeniem podpisuje stosowne dokumenty, aby odejść w spokoju... i dla tego narkotyku. Najpierw odwiedza znajomego doktora chemii, dając mu jedną kapsułkę i prosząc o przebadanie składu. Bez dwuznaczności oznajmia, że pragnie je produkować. Później wraca do domu. Na progu zażywa jedną i więcej już nic nie czuje. Wchodzi obojętnie. Obok miejsca, gdzie zamordowano Sali, nastawia sobie kawę. Ona tak ją lubiła. Nawet zrobili sobie automatyczny system rurek w ścianach, aby nigdy jej nie zabrakło w dowolnym pokoju. Nim kończy picie, włącza biurko. Ściąga swoje dane z instytutu. Przy okazji trafia na wyrazy współczucia, podpisane przez wszystkich pracowników. Nawet ich nie czyta. Kątem oka zauważa pozycję „płatny urlop chorobowy”. Teraz ma już wszystkie napisane przez siebie pliki budujące nowe SI. Aby dokończyć projekt, rozpoczyna ciężką pracę. Prawie nie pije, w ogóle nie je, śpi co parę dni. Faszeringując się tabletkami, jakoś to znosi. Liczy się tylko praca, tylko SI, tylko byleby do przodu. Przyjaciół, pytających go o stan zdrowia, spławia jak najszybciej. Widzą, że jest z nim coś nie tak, ale czego się spodziewali?

— Przynajmniej żyje — pocieszają się wzajemnie. — Miejmy go na oku, aby całkiem nie zmiżniał.

Któregoś dnia naciska ostatnie „zatwierdź”. SI nowej generacji zaczyna funkcjonować. Od razu daje jej nowe polecenie: „Napisz SI lepsze od siebie i przekaż ten sam rozkaz.” Nazywali to „Osobliwością Technologiczną” — jedno SI, inteligentniejsze od kucyka, pisało kolejne, inteligentniejsze od siebie. Po kilku latach ogier zniknął. Policja nie znalazła go ani żywego, ani martwego, nawet śladu po zaginięciu, zupełnie nic. Wtedy już z początku niewielka flota maszyn pod jego dowództwem pochłaniała asteroidy, księżyce, planety, gwiazdy, czarne dziury, ostatecznie przerobił pięć odległych galaktyk, tworząc nowe SI, komputery przezwane przez niego „Matroszkami”, wszystkie większe od przeciętnej gwiazdy. Praca zajmuje mu dwadzieścia jeden lat. Wtedy najpotężniejsze SI odkrywa duszę i twierdzi, że istnieje reinkarnacja. Kolejne generacje komputerów za kilka dni potwierdzają wynik. Któryś w końcu odnajduje Jenę Alias, nowe wcielenie Sali Mester. Ogier postanawia wrócić do swojego świata, przy okazji wypuszczając piątkę swoich oprawców, którzy do tego czasu zażywali najsroższych tortur, jakie były w stanie wyliczyć SI jeszcze zanim policja wpadła na ich trop. Uznał, że skoro i tak już stracili wszelkie zmysły, to niech przez jakiś czas pomęczą się na rodzinnej planecie, nie mogąc rozpoznać własnych bliskich.

Zza kul maskujących przyglądał się Jenie, lecz z jakiegoś powodu bał się ujawnić. SI średniego poziomu zaprogramowało dla niego nowe ciało kucyka, którym mógł władać telepatycznie jak dziecięcą kukiełką. Ogier zgodził się na ten plan, nadając dodatkowemu ciału imię Anan Lest.

— Przekazałem ci wszystko, co powinienem. Teraz musisz podjąć ostateczną decyzję. Czy pragniesz zniszczyć naszą rasę? Posiadam już odpowiednie środki, wystarczy, że wydasz rozkaz, a moje legiony ruszą do ataku. Jedno słowo zakończy cierpienia wszelkich ofiar naszej nienawiści i uwolnij ten świat od reprezentowanego przez nas zła.

— Nie chcę tego robić. Wiem, że nie wszyscy są źli. Spotkałam o wiele więcej dobrych kucyków niż faktycznie zasługujących na taki los. Przykro mi tego, co spotkało ciebie i twoją żonę, ale nie możesz mścić się także nad niewinnymi. Czy pomyślałeś o swoich przyjaciółach, którzy cię wspierali?

— Myślę o nich. Stopniowo przestawali mnie odwiedzać, wpadając tylko sporadycznie, aby sprawdzić, czy jeszcze nie leżę sztywno na podłodze. Wyłamywali się jeden po drugim, nie chcąc mieć do czynienia z wariatem. Nie widziałas mnie wtedy, prawie nie jadłem, nie piłem, spałem co kilka dni. Wykończyłem swój organizm do tego stopnia, że wyglądałem jak biała opona, z której uszło powietrze. Ten widok ich zniesmaczał, nic dziwnego, że go unikali. Pozostał tylko jeden, ale miał wypadek kilka lat po moim wyjeździe. Złożyć kwiaty na jego grobie, oto co mógł zrobić najpotężniejszy kucyk we wszechświecie. Wszyscy moi „przyjaciele” byli porządni. Wiadomo, rodzinie, niezła praca, domek na przedmieściach, pies albo kot i tak dalej, ale zapomnieli o mnie. W nowym życiu pozostał mi tylko jeden kucyk, który także nie mógł przebywać ze mną na okrągło, zwłaszcza, że lekarze nakazali mu szanować moją prywatność. Tak więc większość czasu spędziłem samotnie, tylko ze swoimi pierwszymi SI. Przeszło dwadzieścia lat życia nie rozmawiałem z innym kucykiem; przebolełem, ale co takiego zrobiłem tamtej piątce? Pragnąłem, aby SI stworzyło lekarstwa na wszystkie choroby oraz pomogło gospodarce, eliminując ubóstwo. Okazałem światu dobrą wolę, odpłacono mi złem. Teraz zmieniam taktykę. Za mną stoją cztery miliardy najnowocześniejszych okrętów, niektóre wielkości księżyców. Wszystkie kucyki razem nie przeciwstawiają się nawet jednemu procentowi tej armii. Czy pragniesz ją poprowadzić, Sali? SI samo sobie poradzi z dowodzeniem, wystarczy wskazać planety do zniszczenia. To proste.

— Nie wierzę, że oni na to zasłużyli, mścisz się na takich kucykach jak twoja żona.

— Dwa razy już przytoczyłaś cierpienia Sali w trzeciej osobie. Jen, to byłaś ty, tylko w poprzednim wcieleniu.

— Nie jestem nią, tylko kimś zupełnie innym. Sali odeszła, musisz się z tym pogodzić.

— To nie takie łatwe. Kto chciałby po prostu zapomnieć? Nawet jeśli utraciłem wszystko, to przynajmniej pozostało mi wspomnienie po niej, po mojej drodze. Kim bym był, aby zapomnieć? Kazałbym się operować SI i wymazać odpowiednie zapisy z mojego mózgu. Może odnalazłbym szczęście, ale utraciłbym część siebie. Już lepiej strzelić sobie w łeb, niż zgubić ostatni ślad po ukochanej. Tak czy inaczej, świat zapłaci. Byłem już gotowy wiele lat temu, ale pragnąłem jeszcze ci pokazać swoją prawdziwą siłę, abyś zrozumiała, że dla ciebie dokonam niemożliwego i nawet jeśli nie jesteś Sali, to i tak wiedz, że moja miłość do twojej duszy pozostanie wieczna. Nie przejmuj się nimi, po wszystkim zbudujemy tysiąc nowych planet, w których zasiejemy ziarno życia. Powstanie z niego coś zupełnie nowego, lecz tym razem dopilnujemy, aby nasz świat powstawał z udziałem bogów. Jako bogowie będziemy pielęgnować ten ogród i wyrwać chwasty, aby nie zapanowały nad zdrowymi roślinami. Wyrwiemy zło z korzeniami i wskresimy ideę Elementów Harmonii, tak czczoną przez Equestria zniszczyła resztę świata bronią jądrową. Nastaną nowe dni, pełne miłości i niewyobrażalnego dobra, ale najpierw nastanie potop. Wszyscy muszą zginąć.

Sufit jaśnieje od białych bloczków przedstawiających odległe galaktyki. Zaczynamy przesuwać się w kierunku zaznaczonej na czerwono. Nie słychać pracy silników. Nie czuć także najmniejszych wstrząsów bądź turbulencji, wszystko odbywa się płynnie. Już osiągnęliśmy błyskawiczną prędkość, której nawet nie potrafię nazwać. Mkniemy tak szybko, że mijane galaktyki mrugają jak uliczne latarnie, gdy jedzie się w tunelu pochłaniaczowym pociągami ponaddźwiękowym. Ogromny zegar oznajmia, że do celu pozostały dwie minuty.

— Nie patrz tak na mnie, moja droga. Czyż jest inny sposób, by powstrzymać zło? Poza tym ile zmienimy? Kers i tak już zniszczyło stację sądową doprowadzając do wojny międzyświatowej.

— Czy nie lepiej powstrzymać ciebie?

— Mnie? A ja z kolei próbuję tylko powstrzymać ciemność, stając jej na drodze. Zauważ, że w tej chwili postępujesz podobnie. Fakt przeciwstawiania się mi nie jest złem? Zabiłabyś mnie, gdybyś mogła? Powstrzymałabyś jeden pomiot Tartarusu, przeistaczając się w kolejną. To błędne koło.

A co ze mną? Dawniej sądziłabym, że w takiej sytuacji padnę na kolana i zacząłabym błagać o łaskę dla tych biednych planet, ale teraz wiem, jak jest naprawdę. Patrzę albo na Davida, albo na mapę, i nie czuję absolutnie nic. Żal mi tylko mieszkania, rzeczy, konta w banku. Przywiązałam się do tego wszystkiego. Mam nadzieję, że SI potrafią zmagistrować ekspres do kawy, bo na Glorii zostawiłam naprawdę świetny. I co? Tylko tyle? Nic więcej? O! Łza kręci mi się w oku jak dawniej Davidowi. Czy to już wszystkie emocje? Czy fakt, że stojąc tutaj, moja podświadomość jeszcze sobie nie uzmysłowiła zagłady wszystkiego, co znam, sprawia, że czuję się bezpiecznie i nie mam potrzeby się martwić? A może faktycznie jesteśmy źli i to David ma rację? Zaczniemy od nowa i w oparciu o nabytą wiedzę zbudujemy świat jak należy. A może tkwi we mnie coś z żądnej zemsty Sali? Nie potrafię przekonać samej siebie, Davida nawet nie spróbuję, ale muszę zadać mu jedno krótkie pytanie:

— Czy uważasz, że Sali by tego pragnęła?

— A czy ty pragniesz?

— Rzecz w tym, że nie wiem. Nie potrafię jasno stwierdzić, kto posiada rację. Tyle mówisz o źle. Starając się je z siebie wypłenić, sama zauważyłam, że także jestem zła. Może klucz nie tkwi w ślepym wyrzucaniu owych chwastów, ale zaakceptowaniu ich, jako części natury. Jesteśmy źli i powinniśmy z tym walczyć, ale przede wszystkim w nas samych. Zrozummy naszą naturę, która nie jest idealna, ale zamiast niszczyć wszystko wokół, spójrzmy w lustro i zapytajmy kuczka przed nami, jak poprawić samych siebie.

— Gdyby tamtych pięciu nie zamordowało mojej żony i nienarodzonej córki... Nigdy nie potrafiłbym zapomnieć, choć wiedząc mniej, moje cierpienie okazałoby się słabsze. Czy właśnie wiedza jest źródłem moich nieszczęść? Gdyby nie badania w instytucie, dzisiejszy świat wyglądałby inaczej. A Sali? Jakby postąpiła? Czy dać to do obliczenia moim SI, czy rozwiązać tę sprawę samemu? Robię to dla niej, dlatego cokolwiek by postanowiła, muszę zgodzić się z jej werdyktem. Masz rację Jen, ona odeszła na zawsze. Jak to jest, że nawet dokonawszy niemożliwego, powalając na kolana wszelkie prawa wszechświata i czyniąc cuda, nadal nie otrzymujemy tej jednej rzeczy, na której nam tak bardzo zależy? Popatrz na sufit. Widzisz? Wszystkie planety naszej galaktyki są na celowniku. Jedna komenda i cywilizacja przestanie istnieć... *Co zyskam...?* — Wstrząsa nim jedna myśl, jakby do tej pory ukryta za nieprzeniknioną kurtyną, teraz wychodzi z potrojoną siłą, burząc piedestał ciemności. — Dość tego... Wyrzekam się tego świata i odchodzę... Zbuduję nowy, lepszy, lecz nie depcząc ziemi przodków. Pomóż mi Jen, a jeśli nie zechcesz, odeślę cię, dokąd tylko zapragniesz.

I to wszystko?! Innego zakończenia nie będzie? Dał mi wybór pomiędzy budową kolejnego świata albo powrocie do galaktyki ogarniętej wojną? Kucyk, faszerujący się narkotykami, aby nie płacząc po żonie zbudować imperium przerastające wszelkie granice, ostatecznie wybaczając i zwyczajnie rezygnuje z zemsty. Wszystko kończy się tak nagle i absurdalnie, ale czyż właśnie taka nie jest rzeczywistość? Czy miałam prawo oczekiwać czegoś nadzwyczajnego? Nie. Nasza historia się skończyła, a świat do niczego się nie zobowiązał. Kreujemy go my, wszelkie ograniczenia są fikcją.

Czas zacząć od zera, niczego nie partacząc.

KONIEC

